

Josef Škvorecký

**scherzo
capriccioso**

(wesoła fantazja na temat Dvořáka)



andrzej s. jagodziński – ur. 1954, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej, publicysta, dziennikarz Radia Wolna Europa i „Gazety Wyborczej”, korespondent „Gazety Wyborczej” w Pradze i Bratysławie, dyrektor Międzynarodowego Funduszu Wyszehradzkiego (2003–2006), dyrektor Instytutu Polskiego w Pradze (1996–2001) i w Bratysławie (2010–2015), redaktor „Literatury na świecie” (2007–2009), członek Polskiego PEN Clubu i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autor przekładów książek m.in: Milana Kundery, Václava Havla, Josefa Škvoreckiego, Jiříego Grušy i Bohumila Hrabala. W 2009 roku nagrodzony Literacką Nagrodą Europy Środkowej „Angelus” za przekład *Przypadków inżyniera ludzkich dusz* Josefa Škvoreckiego.

Josef Škvorecký

**scherzo
capriccioso**

(wesoła fantazja na temat Dvořáka)

Przełożył
Andrzej S. Jagodziński



Wrocław 2016

Tytuł oryginału czeskiego: *Scherzo capriccioso. Veselý sen o Dvořákovi*

Redakcja: Ewa Żuk

Korekta: Damian Piechaczek, Elżbieta Regulska-Chlebowska

Konsultacja muzyczna: Adam Pierończyk

Projekt okładki: Magdalena Kocińska | O!Studio, o-studio-dtp.com

Projekt układu typograficznego i łamanie: Magdalena Kocińska | O!Studio

© 1983 by Joseph Škvorecký. By arrangement with Westwood Creative Artists Ltd.

© for the Polish translation by Andrzej Jagodziński, 2016

© for the Polish edition by Książkowe Klimaty

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Książkę wydrukowano na papierze Ecco book 75 Cream vol. 2.0 70g/m²
dostarczonym przez Antalis Poland.

ISBN: 978-83-64887-30-7



*Człowiek może ucieleśniać prawdę,
ale nie może jej znać.*

WILLIAM BUTLER YEATS



Mojej Pepičce



murzyn

Łan zboża w popołudniowym słońcu zalśnił jak bursztynowy sztylet, aż musiała zmrużyć oczy. Z płonącej żółci wyfrunął turkusowy motyl, zataczając się niczym niebieski pijak nad lśniącymi kłosami, jakby jedynym sensem jego istnienia było zawieszenie trzepoczącego znaku życia pomiędzy niebem a ziemią. Rozejrzała się po okolicy, kosmyki potarganych włosów rzuciły delikatną siatkę cienia na rozpaloną paletę kolorów.

Jest bardzo pobożny. Średniowiecze Jacoponego rozbrzmiewa ze *Stabat Mater* strasznym gotyckim echem. Bóg, diabeł, Chrystus, połamane kości łotrów. Wtedy wiedzieli, jak to boli, jakie to prawdziwe. Nie dzielił ich jeszcze zbyt długi czas, nie były to – jak w naszym humanistycznym stuleciu – tylko abstrakcyjne pojęcia. Ze *Stabat Mater* przemawia dusza, a ta widzi nie odbicie w lustrze, lecz stoi twarzą w twarz z absolutem. Człowiek ma chęć paść na kolana, by potem ściągany przez anioły i diabły zerwać się i pobiec do chrztu u najbliższego księżulka. *Inflammatus et accensus per te, Virgo, sim defensus...* Ten idiotyczny owad istnieje na świecie chyba tylko po to, aby do konfiguracji prostokątów bursztynowych pól, zielonych pasm naci buraczanej, czerwieni kwitnących maków i ciemnozielonych klinów, jakie wbijają w ten pejzaż romantyczne świerkowe zagajniki – w najbliższym przed chwilą zniknął cierpiący Willi – głupawo dołączyć triumfalną kropkę niczym brzęknięcie trójkątów.

Coś zaświstało i mignęło w powietrzu, coś chrupnęło i czarny cień zmiotł turkusową kropkę z palety krajobrazu. Dostrzegła ogonek, rozwidlony jak język węża. Potrząsnęła głową, ale zakłócająca widzenie siatka włosów wciąż filtrowała obraz. Musiała ją odgarnąć ręką, aby dostrzec blask otaczającego świata w jego pełnej krasie. *Quae more-*

bat et dolebat... W molowe pastorałe ktoś nagle wrzucił dysonansowy akord durowy. Mistrz zamknął oczy świata i otworzył oczy wiary. Po prostu Petrus. *Doctor angelicus*. Wykształcony nie lepiej niż galilejscy rybacy.

Choć nie dotyczy to muzyki. Zamknęła oczy, żeby z szarego mroku lepiej zabrzmiała magiczna instrumentacja, od pierwszego zawołania waltorni aż po kodę, zaklętą w niewytlumaczalnym misterium muzyki, nieprzeniknionej tajemnicy talentu. Czarodziejska modulacja walczyka, tańczącego wśród harmonii, które rozplývają się do G-dur. *Scherzo capriccioso*. Dziecię Webera. Ale co to za dzieciątko! Gigant. Rozpierany energią Gargantua, który rozdziela dynamiczne ciosy, ulepsza harmoniczne żarciki, niespodzianki brzmienia. Dusza przez chwilę rozplýwa się ze szczęścia, by zaraz wpaść w bezsilność niepewnych dróg wiodących ku tajemnicy – dróg, na których mogą zbłądzić nawet najlepiej wytrenowane palce.

Sibelius?

Door radził Jeannette brać pod uwagę przede wszystkim Sibeliusa. To jeszcze młokos, ale obdarzony bardzo namiętym pocałunkiem muzy. *Der beste Mann für das jüngste Land*. Ale jak cię znam, wygodna Adelko, nie posłuchasz swego nauczyciela. Sibelius tkwi w zamglonych Helsinkach – to tak, jakby z cywilizowanego Manhattanu gnać do jakiegoś Hannibal w Missouri albo tego typu rybackiej wiochy. Jak cię znam, Marguliesko, ruszysz swoje leniwe (zarazem grzeszne, dobrze o tym wiem!) ciało najwyżej do Pragi, bo dalej już nie będzie potrzeby. Chyba że Mistrz jest straszny piecuch, a pokusa twoich gazelich oczu i moich dolarków trafi na bezpłodny ugóř tej skały wiary, cnoty i muzyki.

Otwarła gazele oczu. Jeannette jak zwykle się myli. Bardzo chętnie pojechałaby do Helsinek. Zawsze miała upodobanie do egzotyki. Jakaż inna wiedeńska panna z dobrego domu w wieku siedemnastu lat wyruszyłaby za Wielką Wodę, do tej dżungli muzycznej, o której w Wiedniu powiada się – tak naprawdę nikt w to nie wierzy, ale ona dziś wie, że jest to święta prawda – że słuchając muzyki Beethovena, publiczność pali tam cygara!

Po dwunastu latach na ogromnym kontynencie europejskie odległości nie przerażają. Finlandia nawet mnie pociąga... długa podróż do kraju białych nocy... Ale bledziuchny kwintet Sibeliusa? Dla żydowskiej panny z diabłem w ciele, choć całkiem innym niż przerażający *diabolus* Jacoponego? Znów przymknęła oczy i na zakurzonej drodze wykonała kilka wolnych kroków walca. D-dur. „Przy piwie to mi się podoba”. Nadęty Brahms. Nic nie rozumie albo zazdrości. Pobożny czarodziej zaklął w tych walczykach historię knajpianych ogródków całego świata, spódnic wirujących z podkładem siedmiu halek i romantykę pod dymiącymi lampionami. Też te cygara, obrażające Beethovena. Heretyk Brahms nigdy w życiu nie potrafił tak zaszaleć jak ten pobożniś. Zakręciła pirueta. No i poza tym – Sibelius jest o dwa lata młodszy ode mnie.

Otworzyła oczy. Z lasu wyszedł inny młodzieniec. Musiał widzieć jej taneczne improwizacje, bo szedł w jej stronę także krokiem walca, wprost obscenicznie kręcąc biodrami. Wypomadowane włosy lśniły w słońcu jak lustro, a pod hebanowym wąsikiem wydymały się pełne wargi. Niczym fircyk przetańczył przez całą łąkę i dotarł do drogi.

– Madam! – amerykańska niemczyzna, śmiesznie wydobywająca się z nosa, ale niemal bez gramatycznych błędów. – Pani łaskawość uratowała mnie przed losem wielkiego Tychona Brahe!

Z powodu swej misji trochę się doksztąpił, lecz oczywiście w sposób selektywny. – Will – powiedziała. – Przynosi pan wstyd swej rasie. Tfu! Panu chyba nawet Biblia otwiera się w najmniej inspirujących miejscach.

– Moja Biblia, panno Margulies, otwiera się na akapicie: Jestem czarny, ale kochliwy...

Znów zakotłosał biodrami. Zmarszczyła brwi. Zaśnił alabaster. Czarny galant podał jej rękę, pomagając wsiąść do powozu. Za jego głową widziała żółte, zielone, szkarłatne i błękitne plamy krajobrazu, a w nosie poczuła zapach żywicy, który przyniósł ze sobą z lasu.

– *Weiterfahren!* – poleciła woźnicy. Will wdrapał się za nią i oczywiście objął ją ręką w pasie. Niebiańsko-ziemski pejzaż, letni upał. Narzecie. Mozart tutaj chyba tak samo bezwstydnie zachowywał się wo-

bec Konstancji ponad sto lat temu. Jednak był jej mężem i w dodatku nie wyglądał jak wyrzeźbiony z hebanu. A ten w dodatku jeszcze taki młodzik! O całe trzy lata młodszy od Sibeliusa! Więc o sześć ode mnie. Zmusiła go, żeby przesunął rękę na swoje uda i dostrzegła pomiędzy nimi wielkie wybrzuszenie. O Boże!

– Jeśli będzie pan niegrzeczny, to następnym razem się nie zatrzymam.

– To z powodu tego pilzneńskiego piwa do śniadania – odparł, udając skruchę. – Poważny błąd. Ale musiałem skosztować. Jak wiadomo, on je uwielbia.

– I tak się nie zatrzymam. – Potrząsnęła głową, jak na prawdziwą damę przystało. Roześmiał się i wychylił przez okienko, szczerząc zęby w stronę pstrokatego pejzażu. Potem zaczął tupać w wytarty dywanik i mormorandem podśpiewywał w tym – egzotycznym zapewne dla niego kraju – egzotyczną piosenkę *Joshua fit de battle ob Jericho...*

Jak pięknie kopyta stukają do rytmu, pomyślała i wsłuchiwała się w dźwięki. Skórzany dach powozu pod wpływem wiatru kołatał o drewniany szkielet niczym perkusista uderzający dłonią w bęben. Konstrukcja wozu skrzypiała, wcale nie nieprzyjemnie. Delikatna harmonia drewna. Na tym tle strzelający od czasu do czasu bat woźnicy tworzył lekką dysharmonię, a łany zbóż szumiały jak przytłumione pianissimo smyczków. Do tego wszystkiego beztroski, zagraniczny głos Willa. *You can talk about de man ob Gideon...*

Na chwilę zamilkł, a potem mormorandem płynnie przeszedł do *Eine kleine Nachtmusik*.

Eine kleine Negermusik.

Pomyślała o *Rondzie allegro G-dur* Beethovena, które grała z nim przedwczoraj. Tak jakby słyszała je pierwszy raz w życiu.

Door pewnie kręciłby głową. Ale ja już słyszałam Amerykę. *Negermusik* cicho płynęła dalej, czubki lśniących, modnych trzewików wybijały Mozartowi egzotyczny rytm. Bęben skózanego dachu powozu, urokliwa dysharmonia drewna. Obok pojazdu przefrunął ptak i krzyknął prowokująco do środka. – Hej – zawołał Will i znów spróbował wziąć ją za rękę. Zerknęła między jego nogi. To będzie niezły

postrach konserwatorium Joachima, jak każdej szkoły muzycznej bardzo sfeminizowanego. Znów miał tam potężne wybrzuszenie. – To nie jest jedyna rzecz, która może się zdarzyć, kiedy człowiek tłumi w sobie różne...

Odrzącała go. – Will! – krzyknęła ostro. – Tacy jak pan tworzą złą opinię pańskiej rasy! Chyba zasłużenie.

Do blasku hebanu dołączył blask alabastru jego zębów.

– Złą? – odparł. – A może dobrą?

Chyba świetną, pomyślała.



Czerwona tabliczka na białym kościółku widoczna była już z oddali. Po drugiej stronie doliny stał na górcie zameczek, a obok niego rozpocierały się tereny łowieckie. Zboże i buraki kreśliły pasy krajobrazu, równe jak u zebry.

– Na pewno będzie w kościele – stwierdziła.

Dotarli na wiejski placyk, ale osada była całkiem wymarła. Jasne, na pewno wszyscy są na mszy. Powinnam była do niego napisać. Straciła pewność siebie. To wygodny człowiek, im sławniejszy, tym ma mniejszą ochotę, żeby gdzieś się ruszyć. Musiałby podjąć uciążliwą wyprawę przez ocean, daleko od jego wiejskiego kościółka – i niewątpliwie też od jego gospody. Ale oczywiście Jeannette wierzy w *personal touch*. Jest w tej dziedzinie mistrzem. Zmusić starego Belmonta od Rotschildów, żeby sypnął groszem na donkiszotowskie konserwatorium, to dopiero się nazywa *chucpe!* Choć jak to będzie dalej z rotschildowskimi dolarkami, tego nikt nie wie. Ale jeśli ich nie wycisnie z Rotschilda, to je da jego żoneczka. Jeannette powie kilka zdań w eleganckiej francuszczyźnie i dolarki popłyną.

Oderwała się od wspomnień i wróciła znów do wioski. *Personal touch* plus piętnaście tysięcy... i Mistrz ulegnie urokowi tej chromatyki. Ale czy to był dobry pomysł, żeby brać ze sobą Willa jako egzotyczną przynętę? Jest nadzieja, że tak. Spojrzała na skrzypcy Willa w futerał na przeciwległym siedzeniu. Jeśli Will znów tak się znako-

micie zaprezentuje... Oto, Mistrzu, pański przyszły uczeń w Konserwatorium Narodowym! Jeszcze musi opanować utwór... Ale w życiu do głowy by mi nie przyszło, że to taki bezczelny drań. Czy to dobry pomysł? Oby.

Ale może tak.

Woźnica wstrzymał konie. Z kościoła grzmiała muzyka. Will zeskoczył, nawet nie dotykając nogą stopni, i stanął w pełnym słońcu. Opromieniło go niczym święty obrazek. Kanarkowy plastron poniżej jasnobrązowej twarzy, śnieżnobiała koszula, różowa kamizelka, tużurek z zielonego aksamitu, obcisłe czarne spodnie, a na nogach lakierki numer chyba piętnaście – cała ta kolekcja na tle śnieżnobiałej ściany, na której zegar słoneczny z rzymskim cyferblatem wskazywał dziesiątą. Podał jej rękę. Przytrzymała sobie suknię i zeszała na ziemię.

– Proszę tu zaczekać – zwróciła się do woźnicy. – Albo, jeśli pan chce, może pan iść z nami do kościoła.

– Dziękuję, jaśnie panienko. Jeśliby się panienka zgodziła, to wolałbym raczej do oberży. – Woźnica wskazał budynek, na którego fasadzie wśród kwiatów widniał namalowany napis GOSPODA U FENCLÓW. Kiedy w Nowym Jorku zaczęto myśleć o Dvořáku, Marezek się roześmiał: Pobożny lud? *Well*, jak tylko załopocze mu nad głową gwiaździsty sztandar, zaraz przyłącza się do bezbożników. Spośród Czechów w Ameryce tylko my, Żydzi, pozostajemy wierni Panu Bogu, madam.

Ale oczywiście Mistrz to nie zmieszczaniały woźnica.

– *Wie Sie wünschen* – powiedziała. – *Aber besaufen Sie sich nicht!* – Odwróciła się do Willa. – Idziemy?

– Proszę, niech pani idzie sama, panno Margulies. Dla kongregacjonalisty byłoby to świętokradztwo. Proszę tylko spojrzeć na te bożki! – Wskazał ręką figury świętych na frontonie kościoła. Wokół głów mieli obręcze świeżo pomalowane złotą farbą, a ich habity również świeciły nową farbą w kolorze tużurka Willa.

– Wszystkie piękne panny na pewno będą w kościele – odparła.

– Nie jestem zainteresowany w s z y s t k i m i pięknymi dziewczętami, panno Margulies.

Zignorowała tę aluzję.

– A nie chce pan przynajmniej zobaczyć Mistrza, skoro jechał pan do niego taki świat drogi?

– Przecież go zobaczę – stwierdził bez zastanowienia. – A poza tym już go widziałem.

– Na obrazku?

– Nie. In persona.

Gdzie go mógł widzieć? Ależ oczywiście! Mistrz jeździ dość często do Joachima, który obawia się jego koncertu skrzypcowego.

– U Joachima?

– Nie u Joachima. Ale to dłuższa historia, panno Margulies. Msza pani ucieknie. A ponadto widziałem go w sytuacji niezbyt odpowiedniej do wizyty w kościele.

– Widział go pan, jak w piątek je mięso? – Skrzywiła się ironicznie.

– Nic aż tak strasznego, na Boga! Żadnych kaszanek!

– Idźże pan do diabła, Will!

Odwrociła się na pięcie i wkroczyła do świątyni Pańskiej.



Przywitały ją straszliwe trąby. Organista na chórze zerwał się na równe nogi, aż mu binokle spadły z nosa, i przeraźliwym głosem wrzasnął:

– Puzon milczy! Niech gra bas!

W pierwszej chwili wydawało się jej, że ma halucynacje. Czyżby na organach produkował się tu współplemieniec Willa? Rozpłaszczony nos, czarne jak smoła wybałuszone oczy, poirytowany krótki wąsik à la wujek Remus. Z taką cerą chyba nie wpuściliby go do żadnej lepszej restauracji w Nowym Jorku.

Znów rozległ się głos tura. Księżulo, który właśnie szykował się do godnego zejścia z ambony, tak się przestraszył, że na oczach wiernych o mało nie spadł ze schodów.

– A pan czemu nie gra, panie Suk? – ryczał głos. – Czemu pan tylko siedzi? W kościele panny nie potrzebują ochrony.

Głos brzmiał czysto. Pomagało to jej czeszczynie podsluchanej u muzyków w Wiedniu i Nowym Jorku. Ksiądz tymczasem szczęśliwie szedł na podłogę i ruszył w kierunku ołtarza. Nowy wybuch głosu nim wstrząsnął i ze strachem spojrzął na chór. Obok organów stanął wychudły skrzypek i dawał smyczkiem znak któremuś z siedzących muzyków, ale znad poręczy było im widać tylko głowy. Z ławki na dole zerwał się wysoki młodzian z rzadkim wąsikiem. Jasnawłosa panienka w białej bluzce zrobiła mu miejsce, a on pobiegł do schodów na górę, czemu towarzyszyło nieustające trąbienie. Być może puzonista był głuchawy albo brzmienie instrumentu zagłuszyło mu nawet potężny głos wujka Remusa. Tak czy inaczej, nie zrozumiał sygnału skrzypka i zamiast ścichnąć, dał w swój instrument, ile tylko miał siły w płucach. Tak samo poczynał sobie muzyk na basie, który – jak zauważyła – grał unisono z puzonem. Pod kanonadą obu instrumentów basowych beznadziejnie zwiędły głosiki skrzypiec, altówki i klarnetu. Skrzypek przy pulpicie dyrygenckim znów machnął smyczkiem, nuty mu się rozsypały i wystraszona sekcja smyczków całkiem zamarła. Basista i puzonista opanowali już całe pole. Zdezorientowani z powodu milczącego zespołu przeszli od fortissimo do forte fortissimo. Ministrant przy ołtarzu wypuścił z rąk kadzielnicę.

Tu znowu zakrzyknął potężny głos:

– Przestańcie wreszcie TRĄBIĆ!!!

Przy organach pojawił się młodzieniec z rzadkim wąsikiem i ze skrzypcami pod brodą, z których zaczęły wydobywać się zaskakująco słodkie i potężne dźwięki. Pierwszy skrzypek przestał zbierać nuty i zaczął dyrygować. Mistrz, już z binoklami na właściwym miejscu, oparł się rękoma na klawiaturze a nogami na pedałach i pod wybielonym wapnem stropem – z którego patrzyło na wiernych oko w trójkącie z poszarzałym gołąbkim na czubku – nagle zagrzmiała muzyka, w której dźwięki Kaplicy Sykstyńskiej mieszały się z dźwiękami wiejskiej knajpy. Ksiądz doszedł do siebie i stanął przy ołtarzu. Ministrant polewał wodą z naczynia do ablucji tłący się na stopniach ołtarza dywan. Dziewczyna w białej bluzce uniosła zakochany wzrok ku młodzianowi, który wygrywał na strunach skrzypiec niczym tru-

badur, i wymierzyła klapsa siedzącej obok niej małej dziewczynce, bo ta ukłękła na ławce tyłem do tabernakulum i ze zgrozą wpatrywała się w boga zemsty przy organach. Znów dał się słyszeć jego potężny głos, choć tym razem przepełniony wprost nadludzką czcią: *Po tysiąckroć cię wysławiamy – o matko Jezusa Chrystusa!*

Głos ośmielił wiernych i w nawie kościoła rozległ się ludowy wielogłos.

Usiadła na wolnym miejscu w rogu ostatniej ławki. Poczowała zapach palonego kadzidła. Ręce i nogi, które poruszały mizernymi organami, należały do czarodzieja. Ten ze skrzypcami był jego uczniem. Reszta to przywołane do porządku, pokorne, wiejskie diabełki. Tylko poczerwieniały puzonista przycupnął na końcu rzędu głów i niebieską chusteczką wycierał spoconą łysinę.

Całą przestrzeń kościoła wypełniła muzyka sfer i przeniosła ją znów do *Scherzo capriccioso*.

Zabawne melodie. Zabawne, choć uświęcone. Może jest w tej muzyce ów fałszywy Mesjasz, który krążył wśród zakonników i jawno-grzesznicy, wśród rabinów i celników.

Potrząsnęła głową. To żydowska mistyka, Adelo. Potem, nie wiadomo dłaczego, pomyślała o muzyce, jaką w Karlgasse naukowo konstruuje heretyk i antypapista Brahms.

Wstała zaraz po *Ite missa est*, żeby zająć miejsce przy wyjściu. Will już tam czekał. Jeśli chodzi o panny, miała rację. W ostrym, przedpołudniowym słońcu czary dźwięków nieco straciły nad nią panowanie.

– Miała pani rację, panno Margulies – powiedział z pokorą Will. – Teraz już jednak w s z y s t k i c h pięknych dziewcząt nie ma w kościele.

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, z kościoła wyszły dwie panny w strojach ludowych i spojrzawszy na Murzyna, kolorowego jak papuga, stanęły jak wryte. Will dwornie im się uklonił, a dziewczyny zachichotały.

Pojawiły się następne, za nimi kawalerowie. Murzyn zniknął w tłumie zdziwionych. Przestała się nim zajmować i wpatrzyła się w drzwi wejściowe. Wychodzący moczyli palce w kropielnicy przy drzwiach i wykonując znak krzyża, chronili się przed pokusami nadchodzą-

cego niedzielnego popołudnia. Otoczonego młodzieżą Murzyna nie było już widać i teraz ona znalazła się w centrum uwagi. Uświadomiła sobie, że musi się bardzo wyróżniać. W letniej sukni podróżnej *jardinière* od Altmana z rogu Szóstej Alei i Osiemnastej Ulicy, w kapelusiku *bird-of-paradise* oraz złotych i kolorowych nausznicach od Tiffany'ego. Wiejscy dziadkowie w czarnych kapeluszach i babki w wyszywanych czepcach przyglądali się jej bez cienia żenady. Jeden z dziadków chciał zapalić fajkę, ale na jej widok wstrzymał rękę w połowie drogi i na dodatek zapomniiał zamknąć ust.

Odsunęła się nieco. Wieśniacy też kawałek odeszli, ale wciąż była jak w witrynie. Potem wychodzących zainteresował praski powóz stojący przed gospodą. Starła się wypatrzeć Willa. Zobaczyła tylko dziewczęcą rękę obnażoną po łokieć, jak ostrożnie dotyka pokrytych pomadą włosów.

Odwróciła się z powrotem w stronę drzwi kościoła. Akurat w tym momencie uciekał z nich chyłkiem, szybko znikając za rogami, facet z puzonem w szarym worku. Po nim pojawiło się dwóch staruszków z klarnetami pod pachą. Ci stanęli przed kościołem i na kogoś czekali. Dalej wyszedł mężczyzna z wiolonczelą i dwóch skrzypków. Rozemocjonowani puścili się do dyskusji, ale nie trwała ona długo. Z cienia korytarza tyłem cofał się na ostre słońce pierwszy skrzypek; krople potu iskrzyły mu się na łysinie, a z kieszeni archaicznego surduta wystawała czerwona chusteczka. Machał rękami i kiedy właśnie je rozłożył, w południowym świetle pojawił się Mistrz. Siwe włosy podkreślały jego południową cerę, ta zaś akcentowała jego czarne jak węgle oczy. Usłyszała, jak pierwszy skrzypek usiłuje coś tłumaczyć:

– ...było mu żal, że tam Raiman nie napisał żadnej partii dla puzonu, a za wszelką cenę chciał z panem zagrać, więc mu przyszło do głowy, że podwoi basy...

– Ależ człowieku, nie słyszałeś tego?! Taki ryk w ogóle nie pasuje do Raimana!

Głos mówił teraz ciszej, ale wciąż był to ten sam potężny głos. Do siwych włosów i dzikiej brody Stwórcy dodał mu też potężne ciało, które niezbyt pasowało do jego wprost wyzywająco młodego wyglądu. Pod zje-

żoną bródką Mistrz miał szalony, jaskrawozielony krawat, pod jedwabną kamizelką delikatnie rysował mu się elegancki brzuszek, a kiedy poczuł na czole ostre słońce, nasadził na głowę czarny melonik. Musiała się uśmiechnąć. Nosił go bowiem na ukos, jak dandys z Piątej Alei.

– Oczywiście, że słyszałem, Mistrzu, ale to bardzo pocziwy człowiek. Nie miałem serca mu psuć przyjemności. Grywa z nami na wszystkich potańcówkach i to całkiem dobrze...

– W knajpie też bym go chętnie posłuchał – odparł już spokojnie bóg dokonanej zemsty i wyciągnął z kieszeni ogromne cygaro. – Ja nie jestem przeciwnikiem tureckiej muzyki, ale w kościele? Drogi panie nauczycielu! Chyba tylko w czasie Sądu Ostatecznego. Mogliby go do tego wynająć, bo tak trąbi, na mą duszę!

– Dvořáčku! – przerwała mu korpulentna pani w stonowanych szarościach. – Jesteś jeszcze jedną nogą w świątyni!

– No, to chodźmy dalej – odparł udobruchany bóg, wsunął do ust cygaro i raźnie ruszył przed siebie. Za nim pojawił się młodzian z rzadkim wąsikiem i panienka w białej bluzce, prowadząca za rękę skarconą w kościele dziewczynkę.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do mężczyzny w meloniku, zwracając się do niego po niemiecku:

– *Hab ich die Ehre mit Herrn Doktor Dvořák zu sprechen?*

Trochę zmarszczył brwi, ale zawadził wzrokiem o rajskiego ptaszka w gnieździe ciemnorudych włosów i twarz mu znów pojaśniała. Oczy korpulentnej pani też spoczęły na ptaszęciu.

– *Das haben Sie* – odezwał się Mistrz z ciężkim akcentem. – A pani jest...?

– Jestem Adèle Margulies z Wiednia.

– *Ach, aus Wien! Wie geht es meinem geehrten Freund, dem grossen Brahms?*

– Waży już ponad sto kilo, ciągle je i mam wrażenie, że wciąż jeszcze rośnie – powiedziała. Kabaret w kościele dodał jej odwagi do lekkiej impertynencji. Przekonał ją, że boski Dvořák siedzi na dwóch stołkach: jeden jest w niebie, a drugi na ziemi. Mimo wszystko na moment zeszytniała, ale uspokoił ją jego homerycki śmiech.

– Ma pani rację, wciąż rośnie! Słyszała pani jego ostatni utwór?
Trio a- moll?

– W zeszłym tygodniu graliśmy go z panem Doorem i panem...

– O! To pani też jest z branży? – W czarnych oczach pojawił się przyjazny błysk. Szybko odpowiedziała:

– Uczę pianoforte w Narodowym Konserwatorium Muzyki.

– W Narodowym...?

– W Nowym Jorku. Ale na wszystkie wakacje przyjeżdżam do domu, do Wiednia.

Chwycił ją obiema dłońmi za ręce i ścisnął tak mocno, aż przestraszyła się, że to już koniec jej kariery muzycznej. Rajski ptaszek zsunął jej się na czoło.

– Witam w Wysokiej! Co panią tu sprowadza?

Uwolniła ręce, wsunęła ptaszka z powrotem do gniazda i odparła:

– Pan, Mistrzu. Mam dla pana propozycję od pani Thurber z Nowego Jorku...

Ale on już przestał jej słuchać.

– Mamcia, gdzie jesteś? – Wziął za rękę korpulentną panią. – Moja małżonka, a to jest... – Wskazał panienkę w białej bluzce. – ...Moja córka Otylka... moja córka Lojzicka... moja... – Jednak w pobliżu nie było już nikogo innego. Rozejrzał się dookoła. – Dzieci! Gdzie jesteście? Cholewka, znowu gdzieś psocą! – Głos znów zagrzmiał potężnie, ale tym razem w takich rejestrach, że nikogo nie przerażał. – Anka! Magda! Tonik! Otakar! Gdzie się podziewacie?

Odwrociła się w kierunku Murzyna, ale nie było go w poprzednim miejscu. Wypomadowany heban w towarzystwie panien i młodzieńców kierował się w stronę gospody. Na skraju tej grupki skakały dzieci różnego wzrostu.

– Anka! Magda! Tonik! Otakar! Chodźcie tu natychmiast! Co tam robicie?

– Obawiam się – odpowiedziała – że to jest mój... – tu umilkła spejszona. Jak to ująć? Przyjaciół? Wspólnik? Przewodnik? Bo przecież moim uczniem nie jest.

Widziała, że Mistrz uprzejmie czeka na wyjaśnienie.